

Weatherley Chesney.

SZTYLET.

(Z angielskiego tłumaczył H.).

20

Nadszedł koniec, dowody były tak obciążające! Słyszano, jak między nim a zabita kobietą doszło do kłótni, w chwilę potem znaleziono jej trupa z sztylętą Jerzego w piersi, a on sam uciekł, jakby ścigany furią. Obrońca zrezygnował z obrony. Nie miał już nic do dodania w obronie swego klienta. Po pięciominutowej naradzie trybunał powrócił i wydał wyrok. Brzmiał on „winien”. Skazano Jerzego Feutona na śmierć i to w ten sposób, że nie było nadziei ulaskawienia.

ROZDZIAŁ XXII.

Dr. Fitzgerald wzbudza sensację.

Po usiłowanej kradzieży w „ogrodzie Wery” trzymano dr. Fitzgeralda tydzień w więzieniu śledczym, policja spodziewała się bowiem, że uda jej się lada dzień złapać także jego współnika. To się jednak nie stało i trzeba było wreszcie przystąpić do przesłuchania aresztowanego.

Rozprawa rozpoczęła się późnym wieczorem, kiedy w smutnej, ponurej sali zapalono już lampy gazowe. Miejsce przeznaczone dla publiczności było wypełnione po brzegi. Sprawa była sensacją, gdyż włamanie dokonano w domu osławionym już historią morderstwa przy Andley Street. Przed salą tłoczyły się tłumy, które oczekiwały na możliwość dostania się do środka.

W ciemnym kącie, gdzie zebrały się szumowiny społeczeństwa, aby rozkoszować się widokiem skazańców, siedział jakiś człowiek z czarną brodą o przenikliwych oczach i błyszczących zębach. Cały dzień wytrwał, czekając na tę ostatnią rozprawę. Kiedy ją wreszcie wywołano i Fitzgerald zjawił się na ławie oskarżonych, pochylił się naprzód, z całą uwagą słuchając tego, co mówiono.

Oskarżony nie był ubrany w swój czarny tużurek, który nadawał mu pozory gentlemana. Miał na sobie krótką kurkę. Kołnierz zastąpiła chustka, związana luźno na szyi, nie miał także rękawiczek, które dodawały jego wyglądowi pozory elegancji. Nieszczęsny zwrot losu znosił ze stoicyzmem. Miejsce swoje na ławie oskarżonych zajął z miną wesołą, beztroską. Sięgnął eleganckim ruchem do kieszeni i dobył monokla, przez który zaczął uważnie przyglądać się przewodniczącemu. Skłonił się uprzejmie sprawozdawcom pism, rzucił dumne spojrzenie na niższych urzędników, a następnie zaczął lustrować publiczność. Czynił to bardzo uważnie, a ów mężczyzna z czarną brodą schował się przed tym wzrokiem w głęboki cień.

Dozorca uderzył oskarżonego po ramieniu, aby tenże zwrócił się przed siebie. Fitzgerald obrócił się, uprzejmie przeprasząc.

Mały prokurator, szybki w ruchach, powstał i zagaił sesję. Oświadczył następnie:

— Aresztowany, James Fitzgerald, właściwie William Richmond, jest oskarżony, że piętnastego bieżącego miesiąca wczesnym rankiem, między dwunastą a drugą wdarł się do posiadłości p. Ralstona Feutona „Ogrodu Wery” numer 145, z zamiarem kradzieży. Miał współnika, który niestety uciekł. Obaj dostali się do domu przez tylne drzwi i usiłowali zabrać naczynia srebrne i inne drogie rzeczy, znajdujące się w stołowym pokoju.

Kapitan Brett, który właśnie przebywał w domu, usłyszał hałas, zszedł na dół i został napadnięty przez rabusiów. Przyszło prawdopodobnie do gwałtownej walki, w czasie której kapitan został tak ciężko zraniony, że jest poważnie chory, do wczoraj wieczora przytomność umysłu jeszcze mu nie wróciła.

Policjant numer 952, który owego wieczora pełnił służbę w tej dzielnicy ma potwierdzić tu następujące okoliczności: Kiedy przechodził koło domu, drzwi tegoż zostały gwałtownie otwarte, jakiś człowiek zbiegł po schodach. Na jego widok stanął i pospiesznie zawiadomił go, iż właśnie w tej chwili spełniono w tym domu morderstwo rabunkowe. Obaj weszli do domu,

ów mężczyzna skorzystał jednak z ciemności i uciekł. Tymczasem mieszkańcy domu pobudzili się, w domu zrobił się ruch, a drugi złodziej zaalarmowany tem, wyszedł na korytarz z sali jadalnej, trzymając w jednej ręce torbę ze skradzionymi rzeczami, w drugiej kij gumowy. Policjant rzucił się na niego, obalił go i związał. Po bliższym zbadaniu ustalono, że dwóch ludzi dokonało włamania i ten, który zrobił doniesienie, był owym drugim współnikiem.

— Policjant numer 952!

Wezwany świadek stwierdził prawdziwość przedstawionych faktów, poczem dozwolono Fitzgeraldowi postawić mu ze swej strony kilka pytań.

— Proszę, opisz mi pan człowieka spotkanego na schodach — zapytał tenże.

— Było bardzo ciemno, a on zaskoczył mnie. Nie mogłem go oświecić moją latarnią. Zdaje mi się jednak, że był mniej więcej średniego wzrostu i miał jasną brodę.

— I ten właśnie człowiek powiedział panu, że w domu dokonano rabunku?

— Tak, on.

— Dziękuję, nic więcej, — powiedział Fitzgerald, a na ustach jego pojawił się złowrogi uśmiech.

Prokurator zwrócił się z ukłonem do przewodniczącego.

Oto jest sam fakt, o ile chodzi o zbrodnię kradzieży i włamania. Wobec ciężkiego skaleczenia kapitana Bretta należałoby wnieść przeciw oskarżonemu i jego nieznanemu współnikowi oskarżenie o większą zbrodnię, nie omieszkamy tego zrobić, skoro w tamtej sprawie śledztwo zostanie ukończone.

— Oskarżony, — zwrócił się do Fitzgeralda przewodniczący — czy oskarżony ma coś do powiedzenia w sprawie podniesionych oskarżeń? Zwracam panu uwagę, że nie ma pan obowiązku odpowiadania, zeznania jego zostaną jednak zaprotokołowane i użyte przy dalszych rozprawach.

Fitzgerald wychylił się poza przegrodę ku sprawozdawcom i skinąwszy na nich, oświadczył:

— Zrozumiane? Proszę wszystko pisać, ani kropki nie należy opuścić. Następnie zwrócił się do prezydenta i zaczął mówić spokojnie, całymi zdaniem, nie tak, jak to było jego zwyczajem.

— Tak jest, panie prezesie, chcę coś powiedzieć, mam złożyć bardzo ważne zeznania. Przyznaję się do zarzucanej mi winy, nie będę jednak mówił o mnie, ale o moim współoskarżonym. Od szeregu lat ściga go policja, ale przy pomocy swej piekielnej zręczności i ofiarności swych przyjaciół i do owej nocy byłbym wszystko zrobił, aby go tylko chronić. Wynagrodził mi za to czarną niewdzięcznością. Zdradził mnie, a dzisiaj mu za to zapłacę.

Oświadczenie to oskarżonego, złożone z nadzwyczajną zimną krwią, wywołało na sali ogromne wrażenie. Sędziowie patrzyli na niego z ciekawością sprawozdawcy, aż powstał z miejsc, aby nie stracić ani słowa, publiczność w głębi skupiła się i z napięciem oczekiwała rozwiązania dramatu. Wszczął się niepokój.

— Cicho! cicho! — nakazali woźni sądowi.

Kiedy się wszyscy uspokoili, Fitzgerald mówił dalej:

— Mój towarzysz był osobistością znaną nie tylko policji, ale także i w towarzystwie. Pod różnymi nazwiskami i w różnych przebraniach popełnił w szeregu miejscowości kradzieże, między innymi w Glenmore, posiadłości ks. Lundy, Abbinhall, domu Artura Duranta i u właściciela ziemskiego w Hinton. Na życzenie wysokiego sądu mogę zestawzić dokładny spis wszystkich znanych mi rabunków. Wiem jednak, że nie obejmie on wszystkich jego przestępstw. Człowiek ten znany jest pod różnymi nazwiskami, najczęściej jednak występował jako Archie Dacre lub Keighley Gates.

Przez salę przeleciała znowu fala wzburzenia, a kiedy ogólne zdziwienie przeszło, Fitzgerald dodał:

— Człowiek ten dokonał szeregu zbrodni, ale o dwóch chcę tylko wspomnieć. Pod przybranym nazwiskiem Artura Duranta udał uczciwego człowieka i nakłonił lady Florence Moslyn, kobietę, którą zamordowano na Audley Street, aby opuściła dom rodzinny i poślubiła go.

Na sali zerwała się ogromna burza, następnie zapanowało grobowe milczenie.

Fitzgerald zatrzymał się chwilę, jakby namyślał się poczem zakończył:

— Teraz chcę mówić o jego największej zbrodni. Widziałem na własne oczy, jak ten człowiek zamordował swoją żonę, a za tę zbrodnię został niewinny człowiek skazany na śmierć.

Gdyby jego zamiarem było wywołać zaburzenia cel ten w zupełności osiągnął. Po niem zapanował na sali taki hałas, jakiego nie znają kroniki sądowe. Służba okazała się bezsilną w utrzymaniu porządku, tak, że prezydent kazał odprowadzić oskarżonego i zamknął posiedzenie.

Wśród hałasującego tłumy, który cisnął się ku wyjściu, znajdował się także człowiek z czarną brodą i błyskającymi zębami. Nie brał on udziału w toczących się rozmowach.

Był wyłącznie sobą zajęty. Ukrywając głowę w ramionach, z oczami w dół spuszczone, spieszył się, aby jak najprędzej opuścić salę sądową i znaleźć się poza obrębem gmachu. Czy zobaczył on widmo? Więzienie i śmierć — oto dwa czarne cienie, które stanęły przed nim, a serce ściągnęło mu się w nagłej trwodze.

ROZDZIAŁ XXIII.

Przegrana!

Mr. Finneure Vandeleur był bardzo wzburzony. Zainteresowanie, jakie budził „Zgubiony na pustyni Sahary” osłabło. Nawet benefis wielkiej gwiazdy, przyniósł niepowodzenie.

Mieszkał obecnie w ubogiej izdebce w pobliżu Bond Street. W kilka dni po aresztowaniu Fitzgeralda odwiedził go jeden z kolegów, pragnąc z nim spędzić wieczór. Aktor ten grywał w zespole role tragiczne, a wnikanie w takie nastroje nadało jego życiu odpowiedni charakter. Nigdy nie należał do wesołych kompaniów, nic też dziwnego, że Vandeleur nie był zbudowany jego przybyciem.

Gość rozejrzał się po pokoju i wzrok jego padł na fotografię wiszącą na ścianie.

— Al paatrzcie, miss Western! Wiesz co, Finny, mnie się zawsze zdaje, że ty umaczałeś ręce wtedy, kiedy to ona tak nagle od nas zniknęła.

Mr. Finneure Vandeleur nie okazał gniewu z powodu tego przypuszczenia. Machnął tylko ręką niechętnie.

— Nie, nie Lortonie, na honor nie! Nie zaprzeczam, że byliśmy dobrymi przyjaciółmi, ale ty wiesz przecież, Dick Lambert, a ten także był moim przyjacielem. Więcej chyba nie potrzebuję ci mówić.

Lorton ściągnął usta i powiedział z teatralną pozą:

— Twoje uczucia sprawiają ci zaszczyt. Podaj dłoń, niech ci ją uścisnę.

— Nie bądź głupi, Lortonie. Siadaj, zabawimy się. Czy masz ochotę zagrać w karty?

— Najwyżej o skorupy z ostryg. Moja kieszka jest przeraźliwie chuda, a i ty po „Saharze” nie nagromadziłeś pewnie wielkich skarbów. Może masz jakiego trzeciego gracza? Czy sam zupełnie mieszkasz w tych strasznych norach?

— W pokoiku od tyłu mieszka jeszcze jeden pasażer. Wygląda tak, jakby przed laty rozbił bank i żył jeszcze wspomnieniami.

— Sprowadź go.

— Nie mogę, idź ty. Wygląda na wielkiego mantykę, ale twoja wymowa już go zachęci. Lorton nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Wyszedł na korytarz i po dłuższej chwili powrócił z obcym.

Był to osobnik średniego wzrostu, z nieogoloną brodą i o przenikliwych oczach. Lorton przedstawił sobie obu sąsiadów:

— Mr. Mathews, pan pozwoli, że zapoznam pana z pańskim sąsiadem Mr. Finneure Vandeleur. Pan Vandeleur — pan Mathews.

— Cieszy mnie Mr. Mathews — powiedział Vandeleur, podając mu rękę. — Nudziliśmy się obydwoj z Mr. Lortonem i spodziewamy, że pan nad nami się zlituje i będzie trzecim naszym sprzymierzeńcem.

— Karty! — powiedział obcy gość, kiedy zobaczył na stole przygotowaną paczkę. — Starzy przyjaciele! — dodał, tasując je powoli.

(Ciąg dalszy nastąpi).